

serce, był autentycznie życzliwy, wspomagający, bardzo ludzki; szło się do niego jak do rodzzonego brata. Trzeba podnieść i tę zaletę księdza Bernardyna, że się odznaczał ogromną uczynnością. Jak zwykle bywa w każdej parafii, ludzie się zwracali do niego z różnymi prośbami. Prosimi często o pośrednictwo, o radę, o interwencję. Nigdy nie odmówił swej pomocy nikomu, a ilu ludziom prawdziwie pomógł swą uczynnością, mądrością, roztropnością, modlitwą, sam Bóg wie. Tak pomagał również do ostatniego momentu życia kapłanom, wielu kłekało u niego do spowiedzi, szukali rady u niego i oparcia, potwierdzenia swojej pracy i przemyśleń. Na jego twarzy malowało się skupienie, zasluchanie we wszystko, co się wokół działo. Gdy się słuchało jego wypowiedzi, to się wydawało, że na wieży swojego kościoła św. Michała ma ustawioną lunetę i przez nią patrzy na daleki i szeroki świat. Wypowiadał różne prorocze słowa

co do losów świata, niektóre z nich spisał i zostawił. Jego śmierć okryła żałobą całą parafię ujanowicką i wszystkie jej okolice, całą Limanowszczyznę — oplakiwano go jak kogoś z najbliższej rodziny. Jego pogrzeb zaszczytlił swoją obecnością księża biskupi tarnowscy: ks. bp ordynariusz Jerzy Ablewicz i ks. bp Piotr Bednarczyk, a kapłanów były nieprzeliczone szeregi.

Wyrósł ksiądz Bernardyn w cieniu wiecznej lampki. Nie zmarnował żadnej godziny, a każdą z nich wypełnił najszlachetniejszą treścią, nieustannie płonął. Tajemnicę tego wewnętrznego płomienia mogłaby zdradzić tylko wieczna lampa, blask idący od tabernakulum. W tym świetle chodził każdego dnia. Nie gardził ludzkim towarzystwem, lubił prowadzić dialog z kapłanami, lubił kapłańskie imieniny, chętnie gawędził z parafianami, nigdy jednak nie zapominał o tym, że jest jeszcze Ktoś w parafii, kto czeka na jego towarzystwo, na jego kapłańskie odwiedziny. Toteż nigdy się nie nudził w towarzystwie Eucharystycznego Przyjaciela. Nigdy mu nie zabrakło tematu do rozmowy, choć wityta przeciągała się nieśaz ponad godzinę. Wszak rozmowa

z Nieskończonym może się ciągnąć w nieskończoność. Któż by zatem zliczył ten czas, jaki w ciągu swego długiego kapłańskiego życia spędził sam, na sam z Jezusem. Przed tabernakulum klęczał z wielką wiarą i miłością, klęczał jak dziecko ze złożonymi rękami. To, co Pan mówił do niego w Eucharystii, tak zdumiewająco pięknie owocowało w jego życiu. Pan mówił, a on siedział zasluchany jak Samarytanka przy pełnej studni dającej wodę na życie wieczne. Eucharystyczną ofiarę odprawiał zawsze z należytym skupieniem, namaszczeniem. Ruchy spokojne i powolne, teksty liturgiczne wypowiadane wyraźnie i powoli. Zresztą także wszystkie inne czynności liturgiczne wykonywał budując pobożnie ze świętym skupieniem.

Z Matką Najświętszą był związany jak dziecko z matką. Cześć, jaką żywił do Bogarodzicy, wolna była od taniej dewocji. Maryja była przewodniczką do Jezusa, pomagała mu ustawiać długie rzędy przed konfesjonalem, karmić wiernych słowem żywota. Wiodła zgłodniałych do Stołu Pańskiego. A on po prostu chodził z różańcem w rękę i cicho, modlitewnie go szeptał. Z imieniem Maryi na ustach walczył z wadami swoich parafian, zwłazsza z pijaństwem — tu był nieprzejednany i nieustępliwy.

Jednym z najważniejszych obowiązków kapłańskich jest niewątpliwie szafowanie sakramentem pokuty. Ksiądz Bernardyn spędzał chętnie długie godziny w konfesjonale, był doświadczonym i gorliwym kierownikiem dusz, wiele tysięcy ludzi wypowiadał w ciągu życia kapłańskiego, z miłością i cierpliwością służył swą kapłańską pomocą tym, którzy swe sumienia pragnęli z grzechów oczyścić. Konfesjonał był zasadniczym miejscem jego kapłańskiej pracy, można nawet powiedzieć, że był on „wieloznamiem konfesjonału”. Z tego powodu podziwialiśmy go wszyscy, młodzi kapłani, i za każdym razem trudno nam było dotrzymać mu kroku. Kratki jego konfesjonału wydawały się ściemniałe od wyznawanych przy nich grzechów, biedy i poniżenia ludzkiego, złote od miłości, nadziei i wiary.

Ksiądz Bernardyn był kapłanem pokornym, żył prawdą o sobie, prawdą o kapłaństwie, prawdą o Bogu. Umiał słuchać. Był otwarty na każde słowo. Przechylał się cały w kierunku ambony, by nie uronić żadnego słowa kaznodziei bez względu na to, czy to był misjonarz czy wikary, wybitny mówca czy przeciętny głosiciel Ewangelii. Otwarta gleba nie patrzy na rękę siewcy. Przejawem ujmującej pokory było to, że podczas spowiedzi parafian nie sam klękał do krótkich konfesjonału na oczach wszystkich, czym dawał ogromne zbudowanie. O innych mówił dobrze, słowami nikogo nie krzywdził, o sobie zwyczajnie milczał. Nie lubił, gdy go publicznie

nie chwalono, gdy podnoszono jego zasługi; mawiał, że przeżywa wtedy prawdziwe tortury. Trudno mu było się zgodzić na noszenie oznak godności kościelnych. Wobec młodszych kapłanów był braterski, nie dawał odczuć ani swego wieku, ani stanowiska, szanował każdego księdza z pobudek prawdziwie religijnych. Był związany z parafią losami ludzi, a w czasie ponurej okupacji niejednemu uratował od śmierci. Jak dobry Pasterz znał rzeczywiście swoje owce, znał ich imiona i przydomki, znał koleje każdej rodziny w parafii, znał żywych i tych, którzy już odeszli. Był nieustannie do dyspozycji parafian. Prawie nie wyjeżdżał z parafii, nie uznawał urlopu. Był sługą ewangelicznym, czuwającym zawsze z zapaloną świecą, którego Pan nie mógł zaskoczyć. Sam był bardzo umartwiony, ale nie pokazywał tego na zewnątrz.

Oszczędny i ubogi w życiu prywatnym, hojny i gościnnie dla współbraci kapłanów. Praktykował ścisły post w każdy piątek roku, i to przez wiele lat. Ten zbawienny zwyczaj przejął od swoich rodziców, którzy w każdy piątek „suszyli”, czyli jedli tylko suchy chleb z wodą — w lecie zimną, braną prostą ze studni, w zimie przegotowaną — bez żadnej zaprawy i bez cukru. Pościł tak nawet wtedy, gdy w piątek wypadła uroczystość Bożego Narodzenia. Tak też pościł ksiądz Bernardyn.

Znamienne jest i to, że śmierć po niego przyszła właśnie w piątek w Wielkim Poście, gdy w kościele się odprawiała Droga Krzyżowa. Na śmierć był zawsze przygotowany, gotów każdego dnia na spotkanie ze swoim Panem i Ojcem. Do śmierci dojrzał, starzał się bardzo pięknie i mimo wieku podszedł żywo się interesował sprawami kościoła, parafii, dekanatu, diecezji. Był starszkiem o rozumnej twarzy i dużej energii, czynny niemal do ostatniego dnia swego ziemskiego życia. Odszedł do domu Ojca jak dobrze zasłużony żniwiarz.

Testament jeszcze raz potwierdził, jakim prawdom i wartościom był wierny, kon. z całym oddaniem służył. Pieniądze i wszystkie rzeczy stanowiące majątek nie miały dla niego znaczenia. Poza ubraniem, książkami i nielicznymi starymi sprzętami niczego nie posiadał. Nie był „ciulaczem”; cokolwiek otrzymał w związku z prowadzeniem parafii, przeznaczał na dobre cele lub potajemnie rozdawał potrzebującym.

Ks. Tadeusz Skura

